Nr. 19. Lwów, 1. października 1901. Rok XXIV.

ŁOWIEC



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Wyprawa myśliwska
Hr. JÓZEFA POTOCKIEGO
do Sudanu.

(Dalszy ciąg).

Jakkolwiek disseńscy Arabowie postawieni na czatach dali nam znać, że widzieli słonie w nocy przy wodopoju, hrabia odłożył polowanie na tego grubego zwierza do innej okazyi, mając na widoku dalsze śledzenie postrzelonego bawołu, a ewentualnie nowe spotkanie z tą tyle upragnioną zwierzyną. Rozdzieliliśmy się jednak na dwie partye. Tym razem nie brałem ze sobą wielbłąda, lecz natomiast kilku ludzi do niesienia zapasów wody i żywności. Poszedł też ze mną Stefan, dla którego te wycieczki stanowiły miłą rozrywkę, choć zwykle kończyły się dla niego jedynie na zabiciu kilku pentarek.

Jakkolwiek rozeszliśmy się z hrabią w różnych kierunkach, nie upłynęło kwadrans od chwili opuszczenia obozu, gdyśmy się z nim wśród dżungli spotkali.

— Chwilę przedtem — rzekł mi — pomknęły przed nami dwa lwy. Moi ludzie widzieli je na oko. Jeden ma być bardzo duży.

I w samej rzeczy, na tropach znać było, że jeden z lwów przechodził zwykłą miarę. Rozeszliśmy się znowu — hrabia idąc po tropach, a my okładając bokiem, aby w danym razie drapieżnikom drogę przeciąć. Zelektryzowało mnie też wkrótce potem oświadczenie Stefana, że widział lwa, pomykającego w trawach, na lewo od naszej drogi. Mohamed stanowczo oświadczył, że była to gazella, lecz Stefan uparcie obstawał przy swojem, twierdząc, że widział doskonale kształty zwierzęcia, a nawet ogon. Aby więc nie mieć sobie nic do wyrzucenia, poszliśmy w rozsypkę po dżungli, pilnie

wypatrując, czy wśród traw nie ujrzymy groźnego nieprzyjaciela. Mohamed tak był pewny swego, że z nami iść nie chciał. Obeszliśmy tak spory szmat dżungli i po kwadransie wróciliśmy do shikarego, aby dalszy marsz rozpocząć.

Co chwila spotykaliśmy tropy bawołów, aż wreszcie Mohamed wskazał mi świeżutkie ekskrementa tej zwierzyny. Na tropach znać było, że jesteśmy na śladzie pojedynczej, dużej sztuki, zapewne starego byka. Mohamed poprowadził nas za nim, zalecając jak największe środki ostrożności. Szliśmy wolno i cicho za shikarim, którego sokole oczy badały okolicę. Trzymałem też w ręku cal. 10 na wypadek tak upragnionego spotkania. Po półgodzinnym marszu Joussouf i Stefan mówią mi, że słyszeli głos słonia; Mohamed utrzymuje, że to ryk bawołu. Wszystko mi zresztą jedno, czy to będzie słoń, czy bawół, gdyż zarówno jednego, jak drugiego pragnąłbym zabić. Na nieszczęście mamy wiatr bardzo niekorzystny, a wysoka i mało zdeptana trawa ogranicza nam horyzont do kilkudziesięciu kroków. Mohamed rzuca więc trop, aby zwierza okrążyć i z dobrym wiatrem podejść. Ten jednak manewr nie udał się nam, gdyż doszedłszy do miejsca, skąd głos słyszano, jużeśmy tam zwierza nie zastali: musiał nas usłyszeć lub zawietrzyć i ustąpił w głąb dżungli, a świeżego tropu już się nam nie udało podjąć. Tym sposobem, po godzinie denerwującego marszu musieliśmy dalszego śledzenia zaniechać.

Dzień ten był wogóle bardzo niefortunny. Oprócz tropów żyrafy nic do śniadania nie spotkaliśmy, nawet mory i ariele wyniosły się gdzieś do licha i dżungla była niezwykle pustą. O w pół do 10-tej najniespodzianiej spotkaliśmy się znów z hrabią. Był to wypadek niezmiernie rzadki, aby rozszedłszy się w różnych kierunkach, spotkać się znowu, wśród bezbrzeżnej dżungli. Opowiedziałem hrabiemu o nieudanem śledzeniu za tropem bawołu. On mi znów zakomunikował, że tropił oba lwy przez 1½ godziny, aż wreszcie znudzony, rzucił ślady i błądził po dżungli, w poszukiwaniu tropów bawolich. Lwy poszły w kierunku Dissy.

Rozeszliśmy się, a w chwilę potem, znalazszy trochę cienia, zatrzymałem się na śniadanie, poczem ruszyliśmy z powrotem do obozu, gdzie stanęliśmy w południe. Była to dla mnie jedyna dłuższa wycieczka, z której powróciłem, nie strzeliwszy ani razu.

Hrabiego spotkałem pod samym obozem. Zabił piękny okaz „baszmata" (*cervicapra bohor*). Jest to antylopa wielkości dużego rogacza ukraińskiego, z końcami rogów ku przodowi zagiętymi. Kozioł tylko nosi rogi, gdy koza jest bezrożna. Całe ciało tej antylopy pokrywa dość ostry włos, jaskrawo rudej barwy, jaśniejszy na spodzie. Mięso baszmata jest grubowłókniste i w smaku niedobre, wskutek czego niejadalne. Baszmaty spotykaliśmy w dość znacznej ilości w Abkuku; przedtem widzieliśmy je tylko na poprzednim etapie w Harunie, a już w Dissie, o parę ledwie godzin marszu od Abkuku, nie spotkaliśmy ich ani razu, mimo, że we wspomnianej miejscowości spędziliśmy blisko tydzień czasu.

Zjadłszy śniadanie i wypocząwszy nieco podczas najgorętszych godzin dnia, ruszyliśmy, każdy w swoją stronę, o godzinie 3-ciej. Wziąłem ze sobą czterech ludzi do niesienia broni i wody, gdyż skwar był silny, a obfita transpiracya pobudzała pragnienie. Zwykle mieliśmy ze sobą duże manierki, obszyte wojłokiem, który przy wyjściu z obozu maczało się w wodzie. Wskutek parowania zawarta w manierce woda, czy herbata z koniakiem i cytryną utrzymywała się w stanie względnej świeżości.

Ta popołudniowa wycieczka, z której powróciłem o w pół do 6-tej, dała mi tylko jedną gazelkę *mora*. Oprócz tego zestrzelałem „baszmata, lecz ten zginął mi w wysokich trawach i mimo pościgu mych dzielnych chłopaków — Ibrahima i Joussoufa — przepadł bez wieści. Hrabia wrócił o 6-tej z pięknym okazem starego baszmata.

Wieczorem, podczas „rady wojennej" — mój pierwszy shikari, Mohamed, pokazał mi ranę na wielkim palcu prawej nogi. Arabowie sudańscy używają strzemion z bardzo grubego drutu, na których trzymają się tylko wielkimi palcami nóg. W ten to sposób Mohamed skaleczył się i wskutek rany był prawie niezdatnym do marszu. Zaaplikowawszy mu przemycie phenolem Boboeuf'a i przysypanie jodoformem, obandażowałem chory palec. Niemniej jednak trudno było spodziewać się szybkiego zagojenia, a brak Mohameda mógłby się niekorzystnie odezwać na rezultacie moich polowań.

To też następnego ranka wziąłem dla niego osiołka, który mógł mi też służyć do niesienia zabitej zwierzyny. Opuściliśmy obóz przed wschodem słońca i poszliśmy z razu łąką w kierunku południowym. W odległości jakiej pół wiorsty od obozu ludzie moi wskazali mi pod dżunglą na samym brzegu łąki jakąś wielką antylopę — raz mówili, że to „tetel" (*Bubalis tora*), to znów, że „katamburo" (*Kobus defassa*. Było to w każdym razie moje pierwsze i niestety, jedyne spotkanie z wielkim gatunkiem antylopy; to też użyłem wszelkich środków ostrożności, aby go na możliwy strzał podejść.

Zwierz stał od na na jakie 500 kroków i widocznie spostrzegł już nas, gdyż zwrócił się frontem i przestał żerować. Między nim i nami rósł wielki, rozłożysty krzak, który obrałem sobie jako zasłonę moich ruchów, licząc, że od niego będę już mógł wygodnie strzelić. Zostawiłem więc ludzi na miejscu, aby ściągali na siebie uwagę zwierza, a sam chyłkiem zacząłem się podkradać, zasłonięty wspomnianym krzakiem. I byłby się ten manewr z pewnością udał, gdyby nie przeklęta para baszmatów, których w wysokiej trawie nie zauważyliśmy. Spłoszone mojemi ruchami, szurgnęły hałaśliwie i pociągnęły za sobą tetela, pozbawiając mnie tej jedynej okazyi zabicia wielkiej antylopy.

Ta przedpołudniowa wycieczka nie zaznaczyła się niczem osobliwem. Strzelałem parę razy do baszmatów, lecz bezskutecznie. W końcu zabiłem jednego. W powrotnym marszu znaleźliśmy na samej przecince pod linią telegrafu, biegnącego do Roseires — szkielet wielkiego słonia. Była to niewątpliwie ofiara żyłki myśliwskiej, którego z oficerów angielskich, najprędzej pułkownika Smyth'a „mudira" Roseires*) W każdym razie dziwne wrażenie robił ów szkielet reprezentanta najdzikszych okolic świata, leżący obok słupów telegraficznych, któreśmy uważać zwykli za ślad najwyższej cywilizacyi.

---

*) Nie należy go mięszać z pułkownikiem Smith'em (przez *i*), mudirem Karkocz, o którym wspominałem uprzednio.

Mimowoli przychodziło mi na myśl, że te kolosy, które do niedawna wałęsały się tutaj stadami po paręset sztuk, ustąpić muszą, mimo ochrony władz, przed postępem cywilizacyi europejskiej. Bo słoń, jak i nosorożec, hipopotam, bawół, żubr, bizon lub łoś, żyć nie może obok kolei żelaznych i z czasem zniknąć musi z powierzchni ziemi. Żywot tych zwierząt wśród szeregu wieków przedłużyć tylko możemy stosowaniem praw ochronnych, lecz nie ustrzeżemy ich od fatalnej zagłady.

Wróciwszy do obozu około 12-tej w południe, zastałem już hrabiego z parą pięknych *phacocherów*, które dubletem podczas swej wycieczki położył.

Nie chcąc drogiego czasu tracić, po południu znów wyszliśmy na polowanie, każdy na swoją rękę, jak to zwykle robiliśmy. Błądząc po dżungli, napotkałem wszystkiego dwie pary baszmatów, które jednak do strzału mnie nie dopuściły. Już ku zachodowi słońca, wracając do obozu, wyszedłem na łąkę, gdy ludzie moi pokazali mi w znacznej odległości pojedynczego baszmata, który widocznie dla żeru dżunglę opuścił i szczypiąc trawę posuwał się zwolna ku środkowi łąki. Zostawiwszy mych shikarich na brzegu dżungli, zacząłem się do zwierzyny podkradać, korzystając z wysokiej trawy, jaka w tem miejscu rosła. Zwierz tymczasem kierował się ku środkowi łąki, gdzie niższa, zielona trawa widocznie go nęciła. Był jeszcze odemnie o 400 kroków, a ja doszedszy do czystego miejsca, już dalej nie mogłem ryzykować podchodzenia, więc z tego miejsca strzeliłem. Baszmat nie dał nawet najmniejszego znaku przestrachu, tylko łeb w moją stronę skierował i uszu nastawił. Strzeliłem powtórnie, potem trzeci raz, a widząc, że kule moje górują, zacząłem brać cieńszą muszkę (nb. strzelałem bez lunety, której nigdy nie używałem podczas naszej wyprawy). Zwierz stał ciągle na miejscu, zwracając się tylko do mnie — raz frontem, to znów bokiem, lub tyłem. W ten sposób wystrzeliłem 11 razy — wyraźnie *jedenaście razy*, aż w końcu pozostał mi się jeden ładunek. Przyszło mi wtedy na myśl, czy zwierz przypadkiem nie jest raniony, gdyż podczas jednego ruchu wydało mi się, że utknął na jedną nogę. Wówczas zdecydowałem się iść ku niemu na czworaku po czystem. Baszmat, widząc mnie teraz wyraźnie, zwrócił się frontem, stał jednak na miejscu. Będąc już wtedy pewnym, że musi być ranionym, zerwałem się i kłusem puściłem ku sztuce.

Gdym dobiegł na jakie 100 kroków, antylopa ruszyła, utykając silnie i zataczając się, a zrobiwszy kilkadziesiąt kroków, stanęła znowu, zwracając się do mnie bokiem. Wtedy, spokojnie wymierzywszy, strzeliłem poraz 12-sty i nareszcie zwierza rulowałem.

Opisałem cały ten wypadek szczegółowo, gdyż jest to jeden z najciekawszych epizodów myśliwskich, jakie mi się kiedykolwiek zdarzyły. Okazało się bowiem, że jedna z owych 11-tu kul (czwarta lub piąta z rzędu) strzaskała przednią nogę, lekko po brzuchu sztrejfowała i rozwaliła szynkę od wewnątrz, a mimo to zwierz nawet znaku nie dał i stał, jakby chybiony. Nie ruszył się też, gdym potem jeszcze sześć, czy siedm razy strzelał. Ostatnia moja kula, która zwierza położyła na miejscu, trafiła pod same krzyże, nieco ku tyłowi.

A teraz wytłómaczyć się muszę, dla czego mam pewność, że to czwarta lub piąta, a nie inna kula trafiła. Egzamin ran upewnił mnie, że postrzał musiał być dany od frontu; a na sztych właśnie strzelałem mą czwartą i piątą, kulę gdy poprzednie i następne wypuściłem do boku lub do tyłu.

Zostawiwszy ludzi na miejscu, aby antylopę wypatroszyli, poszedłem sam łąką do obozu, odległego nie więcej, jak o wiorstę drogi. Na zakręcie łąki spotkałem hrabiego, który usłyszawszy moją kanonadę i w przekonaniu, żem trafił na stado bawołów, szedł mi na odsiecz w towarzystwie shikarich. Wróciliśmy razem do obozu, gdzie już na nas czekał Bohos z gotowym obiadem.

(D. c. n.).

(*Łowiec polski, Sztolcman*).

Ochrona i rozmnażanie zwierzyny

napisał

A. hr. SUMIŃSKI

(Dokończenie).

3. Kuropatwa.

Dużo z tego, com przytoczył dla zająca, da się zastosować do kuropatwy i bażanta. Klimat, w pierwszej linii nie za ostry i ziemia ciepła najwięcej jej dogadza. Lubi duże łany, ale również i mniejsze, pola gminne zazwyczaj, gdzie ma odmianę, a w razie deszczu i mokra prędzej wydostaje się z koniczyn, buraków do kartofli i na ściernie — gdzie suszej. Stosunek samców i samic na wiosnę powinien być wyrównany dla uniknienia bójek, kuropatwa żyje bowiem parami, a więc każdy samiec ma swoją samicę, młodemi już wylęgniętemi opiekują się ojciec i matka. W czasie, gdy mają gniazda należy się kuropatwom spokój, podczas kośb o ile się da, oszczędzanie gniazd i zostawianie kępek, aż się nie wylęgną, jak to już pisałem.

Gdzie dużo jest kuropatw, dobrze, gdy z wyżłem odszuka się gniazda w koniczynach, łąkach, lub zbożach i zaznaczy miejsce gniazda, aby je ocalić podczas koszenia. Zima i drapieżniki oto najwięksi nieprzyjaciele kuropatwy. W zimie karmić je należy pszenicą pod daszkami, jak dla zajęcy, które umieszcza się w bliskości krzewów, gdzie są remizy, tam we środku tychże. I one są dla kuropatw schroniskiem w niepogodę i przed nieprzyjacielem. Tępić lisy, koty, wrony i sroki, jak i drapieżców skrzydlatych. Kuropatwy bardzo są dbałe o swoje młode, bronią ich, jak mogą i umieją, często same giną w obronie młodych. Widzieć to można, gdy młode jeszcze kuropatwy spotka się z psem. Z krzykiem podrywają się stare, bijąc skrzydłami, prawie po głowie psa, broniąc młodego pokole-

nia, które przez ten czas rozpierzchnąwszy się na wszystkie strony, przypada do ziemi i tak się w nią wgniata, że zadeptać je można niebacznie. W okolicach, gdzie zima ostra, można kuropatwy zimować, łapiąc je na siatki, a na wiosnę dopiero wypuścić. Łatwo wtedy stosunek samców i samic wyregulować. Gdzie jednak ich dużo, pamiętać o nich podsypywaniem ziarna wystarcza. Polując na kuropatwy, należy strzelając, zawsze do pojedynczych sztuk mierzyć. Strzelanie w stada sprowadza kaleczenie. Kuropatwa podstrzelona, która nie spadnie zaraz, jest straconą, leci jak długo może, wtedy dopiero spadnie i staje się pastwą drapieżnika, który zaprawiwszy się na postrzelonej, sam na zdrową poluje. *) Strzela się zazwyczaj cienkim śrótem, który i tak rozrzuca, stąd to spotyka się kuropatwy z zagojonemi ranami na nogach i dzióbach, które powykrzywiane i zgrubiałe w najcudaczniejszy sposób. Poluje się również z ustanowionym naprzód preliminarzem, aby zapewnić sobie przyszłość. Tak zając, jak kuropatwa, jest cennym artykułem spożywczym.

4. Bażant.

Żyje w polu i w lesie, nocuje przeważnie na drzewach, jest ptakiem u nas już zaaklimatyzowanym. O ile za młodu wychowanie jego jest trudne, raz dorósłszy, ptak to wytrzymały na zimno i twardy. Są bażantarnie sztuczne i na dziko. Niebezpieczne dla bażanta, to lata mokre, powodzie i drapieżniki, w szczególności lis. Koniecznymi warunkami do życia woda i piasek. Podczas lęgów także mu opieka się należy, jak i kuropatwie. Na 10 kur liczy się jednego koguta. Wychowaniem młodych zajmują się tylko matki. Za wielka ilość kogutów jest szkodliwa. Gdy zapuszcza się bażanty (rozumiem tu tylko na dziko, o sztucznej bażantarni powiem dalej) kur strzelać wcale nie należy, co w ogóle w rozrodzonych nawet już bażantarniach nie powinno być, a więc nawet gdzie bażantów dużo. Jestto ptak głupi, a lisy takimi są amatorami bażanta, że z bardzo daleka do niego się ściągają i są w stanie wyłapać co do nogi. Dlatego to, gdzie są bażanty, tam lisy tępić trzeba i ciągle za nimi uganiać.

Bażant spotkawszy lisa tak się przeraża, że na piechotę przed nim ucieka; zapominając o skrzydłach i naturalnie staje się jego łupem. Ale też nietrudno jest dowiedzieć się o obecności lisa w bażantarniach. Wcześnie z rana bowiem, gdy lis wejdzie do rewiru, koguty stare wzlatują na drzewa i krzyczą, jakby chciały doludziom nieść o wrogu.

Bażanty lubią nadewszystko wikle nad wodą i tam przebywają stale i niestety, gnieżdżą się w tychże. Mówię niestety, bo gdy powódź przyjdzie, wytopi całą przyszłość i dużo starych. Bażantka bowiem siedzi na gnieździe do ostatniej chwili, tak dalece, że woda przybywając, już zamacza jej skrzydła, a ona wtedy porwać się próbuje, lecz już nie może, mając zmaczane pióra i uniesiona prądem wody, tonie.

W lasach gdzie bażanty przebywają, należy znieść kupki piasku i tam też, zimową porą, żywić pszenicą i kukurudzą. Bażant chętnie w piasku się kąpie, bawi i nawet niektóre ziarnka zjada. Są to ptaki, które chętnie wędrują i tam gdzie są, rozchodzą się na okolicę daleko, szczególniej nad rzekami i rowami. Polowanie odbywa się w jesieni i zimą; naturalnie jak wszędzie, tak i tu ilość kogutów do zabicia przeznacza się według stanu. Odświeżanie krwi przez sprowadzanie kogutów z innych miejsc bardzo się zaleca co pięć lat.

5. Cietrzew.

Ptak to dziki i ostrożny, który nie lubi ani postępu, ani porządku. Lasy zniszczone, torfowiska, moczary, na których brzózki rosną, oto jego pobyt ulubiony. Znachodzi się jednak i w górach i to już nawet bardzo wysoko. Koniecznie potrzebuje do życia brzózek, których pączki objada, jałowiec, wrzos, żarnowiec, borówkę, brusznicę, pączki drzew owocowych bardzo lubi. (Głuszec modrzewie i różne nasiona). Na 5 kur liczy się dwa koguty, wychowaniem młodych zajmuje się tylko matka. Po tokach, czas wiosenny, t. j. czas, gdy się parzą koguty, które wtedy krwawo ze sobą walczą, potem w zgodzie łączą się w stada i ze sobą trzymają, zazwyczaj dopiero po wypierzeniu w jesieni i zimą. Poluje się tylko na koguty właśnie na tokach, strzelając dopiero w połowie toków, bo wtedy przypuścić można, że część większa kur już zaspokojona i przyszłość zabezpieczona. Strzela się znów tylko ilość pewną, z góry przeznaczoną. Piasek do kąpieli bardzo lubi. Naturalnie sypiąc mu ziarno w zimie dobrodziejstwo się robi, bo gdy zima ciężka i cietrzewiowi bieda. Żąda spokoju, a niepokojony wynosi się. Nieprzyjaciel, to lis i większe drapieżniki skrzydlate, a podczas lęgów i krowy, bo pasąc się po takich lasach, rozdeptują gniazda kopytem.

Cietrzewie są ptakami zagadkowymi o tyle, że nieraz już zdarzało się, iż prawie bez powodu po latach opuszczały okolicę na zawsze i znowu zjawiały się w stronach, gdzie nigdy ich przedtem nie było.

6. Kaczka.

Jest to ptak bardzo rozpowszechniony. W czasie zakazanym t. j. w czasie szanowania, należy się jej spokój i opieka nad gniazdami. Jestto matka niedobra, łatwo opuszcza gniazdo, dbając przedewszystkiem o siebie. To, że się zwykle w trzcinach i oczeretach gnieździ nad wodą, sprawia, że trudniej o spotkanie gniazda, a przez to ma i więcej ochrony, choć i ją drapieżce odszukać potrafią.

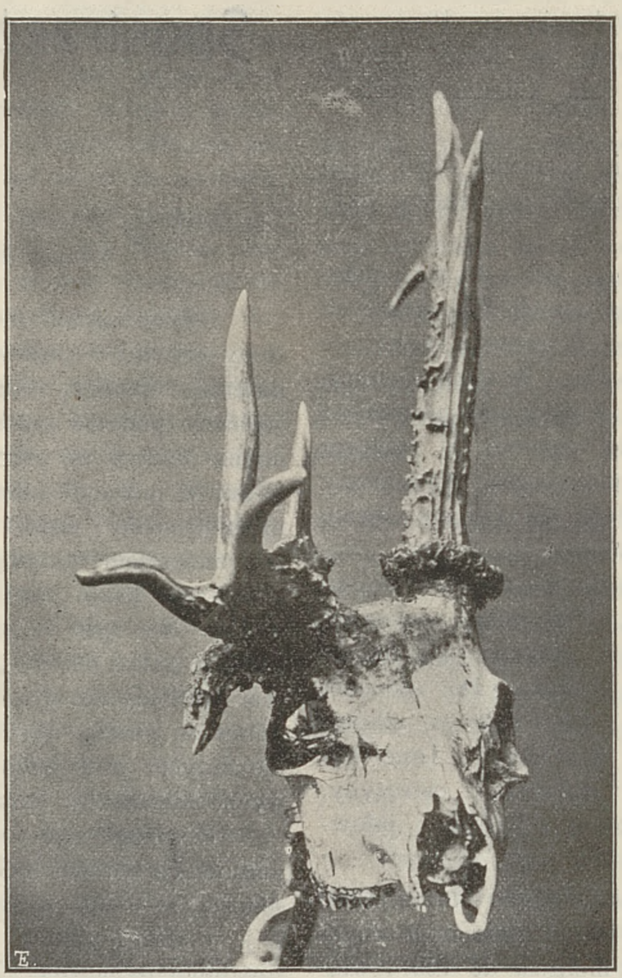
Na wiosnę nie powinno się jej absolutnie strzelać a to z tego już powodu, że kaczki bardzo wczas się parzą, zabicie więc jej, to zabicie całego gniazda. Kaczka sama wysiaduje i wodzi młode, kaczor odkrywszy przypadkiem gniazdo, niszczy i tłucze jaja, dlatego to kaczka, przed nim potajemnie gniazdo sobie robi. Z tego też powodu strzelać kaczory można na wiosnę, zawsze pamiętając o tem, aby częstem strzelaniem nie spędzić kaczki z gniazda. W razie niepokoju opuszcza ona gniazdo i już nie powraca. Jestto właściwie ptak prze-

*) Podczas polowań oszczędzać o ile możności stare kuropatwy, gdyż taka zawsze na rok przyszły więcej ma młodych, od młodej.

lotny, bo dużo jej odmian opuszcza nas na zimę, a niektóre tylko pozostają, zbijając się w gromady i ciągną na rzeki, lub oparzeliska. W każdym, razie do zwierzyny stałej, zaliczyć kaczki nie można. Na czas lęgu, powraca zazwyczaj na to samo miejsce. W niektórych stronach, gdzie kaczek jest bardzo wiele, łapią je na siatki, zastawiane umiejętnie na ogromnych stawach i wtedy są kaczki przedmiotem handlu.

Rozmnażanie sztuczne.

Rozmnażanie sztuczne sarn rzadko się praktykuje. Odbywa się to w ten sposób, że ogradzamy kawałek lasu i tam wpuszczamy sprowadzone sarny n. p. rogacza i dwie kozy. Dochowawszy się, wypuszczamy przychówek wyrośnięty na wolność. Wychowawszy większą ilość sarn w zwierzyńcu można je wypuścić w ten sposób, że po kilku latach zwierzyniec rozgradzamy.



Rozmnażanie sztuczne zajęcy, jest możebne w ten sposób, że sprowadzamy zajęczyce, które wypuszcza się na wolność, porą zimową najlepiej. Inny sposób to zajęczarnia, t. z. ogródki zajęcze. Trzy morgi powierzchni ogrodzonej najlepiej parkanem z $1^1/_2$ calowych tarcic, szczelnie do siebie przylegających, poprzybijanych do słupków gwoździami wysokości 7—8 stóp, to zajęczarnia, która już większy nawet kompleks zasilać może. U spodu tego parkanu deska w ziemię wpuszczona, albo cegły na sztorc, ażeby uniemożliwić podkopywanie. Położenie musi być wesołe, słoneczne, grunt klombami z krzewów i drzew pokryty, liściaste drzewa strzydz można, aby niskiemi zostały, iglaste, jeżeli i bażanty się równocześnie tam chowa, puścić można do góry, aby dla nich za ochronę i miejsca noclegowe służyły. Trzy do czterech żelazek, może być i więcej, stosownie do potrzeby, jak i kosz na jastrzębie umieszcza się na wysokich 3—4 m. palach, przynajmniej 4 pastki ustawia się przy płocie, w różnych miejscach. Na około ogrodzenia wiedzie ścieżka, piaskiem wysypana, w kierunku do otworów pastek, które są tak umieszczone, aby otworami w otworach płotu się znajdowały, w równym poziomie, jak ścieżka, pudła zaś całe cofnięte w zagrodzenie. Ogrodzenie dobrze, gęsto i zwarcie plecione, cierniami zaopatrzone, także swoje zrobi. Gdyby wody nie było, wstawia się żłobek, a raczej wkopuje go w ziemię i zaopatruje codziennie świeżą wodą. Do takiej zajęczarni wpuszcza się dwa gachy i dziesięć zajęczyc, a jeżeli choroba żadna nie wybuchnie i rok jest dobry, to do 100 zajęcy rocznie wychować tam można. W jesieni wypuszcza się młode na wolność otworami, albo po złapaniu siećmi. Zajęczarnie obsiewa się, podzieliwszy na pólka, rozmaitymi, zającom ulubionymi przysmakami: część żytem, część koniczyną, rzepakiem, burakami, kapustą, marchwią i t. p. Chodzi tu głównie o rozmaitość. W zimie żywią się burakami, liśćmi rzepaku, sianem i suszonemi wiązkami prętów wierzbowych, topolowych, dębowych, osikowych i iwy, sprzedane skórki ze złapanych drapieżców wracają część kosztów, a zajęczarnia ściąga ich nadzwyczajnie.

Kuropatwy zimuje się w klatkach, na świeżem powietrzu ustawionych, w miejscu zakrytem od północy. Klatki muszą być w stosunku do ptaków obszerne, jedna strona siatki druciana, a reszta z desek. Pod dachem rozwieszona płachta, aby kuropatwy podlatując, nie kaleczyły się. Muszą mieć spokój, piasek i wodę a karmi się je pszenicą, niepokojąc, jak najmniej. Przewozi lub przesyła się ptaki takie w pudełkach niskich, których wieko stanowi również płachta.

Bażantarnia swojska jest sztuczną drogą do rozmnażania bażantów. Do tego potrzeba i większego nakładu i człowieka fachowego, który się temu tylko wyłącznie poświęca i to gorliwie. Zbierając jaja od kur, przyczem zawsze zostawia się jedno lub dwa jaja w gnieździe, ażeby bażantka nieść się nie przestała, aż sama siedzieć nie zacznie na dobre, podkłada się je pod indyczki, które w zamknięciu i ciemności, w umyślnie tym celu zbudowanej budce, wylęgają te jaja, a wylągłszy wodzą i chronią młode bażanty. Z początku żywi się je jajkami kurzemi, które na twardo ugotowane, sieka się w drobne kawałki (żółtko), później zaś robi się rodzaj ciasta z jaj, z mlekiem i znów siekane podaje. Przytem mrówcze jajka, których trzeba mieć wielką ilość przygotowaną i upatrzoną. Woda i piasek również konieczny warunek do życia. Są to ptaki bardzo delikatne w młodości, a rok mokry setkami niszczy je, nawet już starsze. Trzeba tępić skwapliwie drapieżce, które ciągle próbują podkradać się do bażantarni, a szczególniej łasiczkę, która gdy już bażanty na trawę idą z mazochami, dużo szkody wyrządzić potrafi, niepostrzeżona i szybko. Sprowadza się bażanty z okolic takich, których warunki klimatyczne o ile możności są trudniejsze dla ich egzystencyi, co się odnosi zresztą do wszelkiej sprowadzanej zwierzyny.

W nowszych czasach próbowano aklimatyzować głuszca i cietrzewia w miejscach, gdzie go nie ma. Młode takie jesienne cietrzewie, łapane przed wyżłem, wypuszczane, a raczej przesiedlane do innych lasów, nie

udawały się, w krótkim stosunkowo czasie, gubiąc się zupełnie. Z lepszym skutkiem innego próbowano sposobu. Robi się w lesie, albo też przy nim, w zupełnej bliskości, małe zagrodzenie w rodzaju zajęczarni, otoczone płotem, zaopatrzone w łapki etc., w którem jest woda, warunek konieczny, kilka drzew dużych, dla głuszców, modrzewie, dla cietrzewi brzózki, kawałeczek gąszczu, piasek do kąpieli, ulubionej przez wszystkie kuraki. Tam puszcza się z końcem zimy, albo wczesnym początkiem wiosny, n. p. w lutym cietrzewie lub głuszce, które sprowadzając, należy wybierać z miejsc odpowiednich, dla płaszczyzny z płaszczyzny, dla gór z gór, to ważne. Koguta i dwie kury, którym pióra w skrzydłach się obcina, puszcza się do ogródka i żywi ziarnem.

Kogut w marcu zaczyna toki, następuje czas parzenia, kury składają jaja i wylęgają je. Przez ten czas, zanim młode tak wyrosną, że latać umieją, starym pióra odrosną i wtedy cała kolonia opuszcza ogródek.

Naturalnie takie rozmnażanie sztuczne, robić tylko tam można, gdzie ptaki mają warunki do dalszej egzystencyi.

Remizy służą tak do ochrony, jak i do rozmnażania zwierzyny, dlatego słów kilka o nich. Na większych obszarach, jedna duża i kilka małych, spełnia znakomite usługi. Bliskość wody jest wskazana. W tych to remizach sypie się ptakom ziarno i zwozi kupki piasku do kąpieli, również zakłada paszę sarnom i zającom w zimie. Remiza zakłada się w ten sposób. Wybrawszy miejsce spokojne, słoneczne, nadaje się remizie formę kwadratu. 3—4 m. już wystarcza na małą remizę, a nawet obszar mniejszy. Na zalesienie najodpowiedniejszy jest dąb, ze świerkiem mięszany. Dąb sadzę wewnątrz, świerk w dwóch rzędach zewnątrz. Strzyże się taką remizę co roku, albo co dwa lata, w lipcu. Do sadzenia używa się flanc 4—6 letnich, które już w szkółce przystrzyżone, przyjęły formę krzewiastą. Inne remizy mogą być z mięszaniny: żarnowca, ostrężyny, szczodrzeńca z dębiną, z głogiem, tarniną, jałowcem etc.

Że w remizie żelazo i łapka bardzo dobrze jest umieszczona, łatwo się domyślić. Wszak zwierzyna ściąga szkodników. Remiza duża od 2 morgów do 100 i więcej mieć może. Aby spełniła zadanie musi mieć spokój, ciszę, a więc musi być daleko od wielkiego ruchu, musi mieć wodę. Podzielona ona na pólka, obsiane przysmakami zwierzyny, z laskami naprzemian liściastymi, iglastymi gąszczykami i jaśniejszym drzewostanem, łączkami i gołymi ugorkami, tak ażeby ta zwierzyna tam wszystko miała, czego zapragnie, to i trzymać i rozmnażać się będzie.

Z tego krótkiego, szkicowanego opisu przekonaliśmy się, że hodowanie zwierzyny racyonalne jest nauką, a rozmnażanie sztuczne kosztowną rzeczą. Z drugiej strony pożytek z ubitej i sprzedanej zwierzyny nie mały, a przyjemność bardzo wielka.

Przy opiece i ochronie, dobrych strzelcach, ludziach, jak to mówią, ciekawych do zwierzyny, tępieniu należytem szkodników i drapieżców, można w krótkim czasie, a przy sztucznem rozmnażaniu w bardzo krótkim, dojść do świetnego zwierzostanu.

Przy sztucznem rozmnażaniu nie szczędzić kosztów w tym tylko wypadku, jeżeli się ma pewność, iż sprowadzona zwierzyna ma warunki egzystencyi na przyszłość i to zważywszy dokładnie tak warunki klimatyczne, jak życiowe.



Spostrzeżenia łowieckie

podał J. MARTYNIEC.

(Zasiadka na drzewie: lis obserwatorem; twardy rogacz; łakomy lis: zuchwały jastrząb.

Gdym czytał w N-rze 7 „*Łowca*“ pięknie skreślony artykuł o zasiadce, stanęły mi żywo w pamięci niektóre epizody, względnie spostrzeżenia, poczynione osobiście podczas mych bardzo licznych zasiadek. Nadmienić muszę, że pierwotnie odbywałem te zasiadki na ziemi, w pozycyi siedzącej, gdy atoli komary cięły mię niemiłosiernie i często opędzając się im, spłoszyłem zwierza, zmieniłem taktykę i później zawsze wyszukiwałem drzew na kraju lasu i na nich urządzałem sobie zasiadkę. Nie było to wcale wygodnie, tak siedzieć lub stać na gałęzi drzewa nieraz przez dwie i więcej godzin, tem bardziej, że wyczekiwanie bardzo często, a szczególnie w górach, nie odniosło skutku, lecz pomimo wielu nieudałych prób żyłka myśliwska parła wciąż do nowych usiłowań, a humor myśliwski odganiał nudy.

Pewnego razu siedziałem stosunkowo dość wygodnie, na dwóch obok siebie rosnących gałęziach w wysokości 5—6 m., na rogacza, a że wiatr miałem dobry t. j. w stronę polany, więc wbrew regule zasiadkowej zapaliłem papierosa. Nagle zobaczyłem w kącie polany lisa, ciekawie po polu rozglądającego się i począłem go wabić na mysz. W jednej chwili zbliżył się na 30 kroków, poczem zaczął już pomału skradać się, przyszedł aż pod drzewo, na którem siedziałem i począł węszyć po ziemi. Jak już wspomniałem paliłem cygaro, a gdy lisiura, stojąc pod drzewem zaczął nasłuchiwać, pociągnąłem kilka razy mocno cygaro, by się rozżarzyło i opuściłem je wprost na grzbiet lisa. Podniósł głowę, obejrzał się i w tej chwili począł błyskawicznie skakać tam i napowrót, co uczynił najmniej z dziesięć razy na jednem i tem samem miejscu, poczem skoczył w kierunku lasu, ale tak gwałtownie, że aż rulował i znikł w krzakach. Ponieważ siedziałem na starego i chytrego rogacza po raz może 15-sty, niechcąc więc hałasu robić, nie strzeliłem do lisiury — ale zato ubawiłem się jego strachem, i formalnie trząsłem się na gałęzi ze śmiechu. Niewiem, czy go ogień przypiekł, czy dym do nosa zaleciał — ale najprawdopodobniej i jedno i drugie.

Innym razem siedziałem na grubych gałęziach, rozchodzących się z pnia bukowego, wysokiego na mniej więcej 6 metrów. Zasiadka to była przygodna, przedsięwzięta w toku czynności służbowej. Na głowie miałem nową czapkę urzędową, której daszek i róża przy zachodzącem słońcu bardzo błyszczały. Siedząc tedy na gałęzi, zobaczyłem lisa i począłem go wabić, a gdy się zbliżył na 10 kroków, zawołałem „a pójdziesz ty stąd“. Lis przystanął, począł się oglądać, a gdy powtórzyłem powyższe słowa — podniósł głowę do góry i zaczął mi się przypatrywać. Za każdym razem, gdym nań krzyczał i ręką, a względnie pięścią kiwał, cofał się o krok i dalej mnie obserwował, co trwało około 10 minut. Gdy się oddalił na 40 kroków, dostał kulą w komorę, a dusza rabusia prędko i lekko wyleciała otworem kulowym. Widać, że lis ma żyłkę do obserwacyi i lubi się zastanawiać, jeżeli mu się coś nadzwyczajnego zdarzy, bo n. p. sarna, a jeszcze więcej jeleń najmniejsze poruszenie się na drzewie w okamgnieniu zobaczy, pozna i zmyka. Skonstatowałem natomiast, wśród licznych zasiadek na drzewie, że ani sarna, ani jeleń nie zwietrzy tak łatwo myśliwego. Zdarzało mi się wiele razy, że jelenie lub sarny chodziły pod drzewem, na którem siedziałem. Oczywiście starałem się zawsze usadowić, ile możności, jak najwyżej. Często kos, drozd, kukułka etc. siadały tuż koło mnie, lecz zoczywszy mię, z krzykiem wynosiły się jak najprędzej. Zasiadka może być bardzo nudna, ale tylko tam, gdzie zwierza w ogóle bardzo mało, w kniejach jednak bogatszych nader wiele daje emocyi i zadaje kłam mniemaniu, że „to chłopskie polowanie“. Na takiej zssiadce zrobiłem także dubletę z wydr, a raz ubiłem wilka. Będąc pewnego razu na zasiadce, widziałem z daleka na zrębie rogacza, zbliżającego się ku polanie, na której go właśnie oczekiwałem. Po niejakim czasie zeszedł do potoka i naraz usłyszałem „beu, beu“, a równocześnie i jego uciekającego napowrót. Coś go tam widocznie spłoszyło. Może po dziesięciu minutach, usłyszałem z boku coś jakby lekki skok, zwracam się więc w tę stronę i widzę ogromnego żbika, wolno krajem polanki kroczącego i co chwila drapiącego się łapą poza ucho. Rozumie się, że posłałem mu nabój, który go wyprawił w zupełnie inne knieje, na łowy.

Dodać muszę, że wydry w górach czasem i po 2—3 mil lasem n. p. z Galicyi do Węgier przechodzą, co w zimie łatwo skonstatować.

* * *

Na polanie, znajdującej się blisko mego pomieszkania pojawiał się prawie co wieczór rogacz, a podchodził tak blisko, że go z ganku przez szkła mogłem widzieć. Podejść go było trudno, gdyż polana była rozległa (około 8 ha) nie pozostawało zatem nic innego, jak zasiadka.

Rogacz jak gdyby drwiąc ze mnie — nie pokazał się nigdy, gdym zasiadł, mimo, że czyniłem to z piętnaście razy — natomiast pojawiał się zawsze, gdy byłem w domu. Przekonałem się, że chytry zwierz przychodził pod las już około 3 lub 4 godziny po południu, obserwował polanę, a gdy się tam kto pokazał, wynosił się cichaczem. Nadmienię, że świerk na którym siedziałem, był o jakich 150 kroków od lasu, na polu. Otóż teraz udałem się na swój posterunek już przed 3-cią zabrawszy z sobą książkę — bo trzeba było z 5 godzin czekać. Zaraz po 4-tej zobaczyłem rogacza, jak się wysunął z lasu, położył i dopiero po 7-mej wstał i zaczął się wolno zbliżać, żerując po drodze. (Było to w połowie czerwca). Przypuściłem go na 40 kroków i strzeliłem kulą. Sarniuk przewrócił się na miejscu, na krzyż, wywijając w powietrzu badylami. Zlazłszy ze świerka, oparłem sztuciec o drzewo — i zbliżyłem się do rogacza na 2 kroki z knickerem, chcąc go dokłuć — tymczasem on się podniósł na przednie badyle, wypatrzył się na mnie i jak strzała pomknął do lasu! Na ziemi leżał najmniej 5 minut! Pomimo wszelkich poszukiwań, nie znalazłem go. (Czy to może był tak zwany „Federschuss“ ?)

* * *

Podobny wypadek zdarzył się, gdym szedł ścieżką lasową. Ujrzałem biegnącą sarnę i usłyszałem charakterystyczne sykanie rogacza (csyk, csyk), goniącego kozę (przy końcu lipca). Skoczyłem za drzewo, a przypuściwszy sarniuka na 50 kroków, posłałem mu nabój śrótowy, po którym w ogniu rulował.

Przyszedłem do niego i ucieszyłem się bardzo pięknymi, gęsto i dużemi perłami obsypanymi rożkami — przeciągnąłem go ze ścieżki do lasu i poszedłem na tłokę o 200 kroków odległą po pastuchów, by mi go do domu zanieśli.

Jakież było moje zdziwienie, gdy wróciwszy może po 10-ciu minutach nie znalazłem na miejscu nic prócz farby. Począłem szukać, ale prócz kilku kropel farby dalej w lesie, nic nie znalazłem. Na drugi dzień szukaliśmy ze strażnikiem prawie cały dzień i dopiero pod wieczór znalazłem go na zrębie o j a k i e 1000 k r o k ó w, od miejsca strzału!! Zaznaczę jeszcze, że kilka śrótów na wylot komorę przebiło!!

* * *

Pewnego razu ubiłem w łozach rogacza na podjezdnego i załadowawszy go na sanie, jechałem dalej. Ujechawszy około jednego kilometra, oglądam się i ze zdziwieniem widzę lisiurę na jakie 70 kroków biegnącego za saniami, względnie za farbą, która dość obficie spływała z zabitego rogacza. Powiedziałem woźnicy, by stopniowo zwalniał jazdę, a następnie, by nagle wstrzymał konie. Gdy to uczynił — strzeliłem do lisa, lecz tylko raniłem go mocno i dopiero doszedłem go na drugi dzień przed wieczorem. Był to stary lis.

* * *

Na pięknej ponówce, polowałem w górach z gończakiem na zające. Gdy po niejakim czasie pies zaczął obracał śpiocha, ten z góry cwałował prosto na mnie. Naraz widzę, jak duży jastrząb zaczyna bić na zająca, tak często, że tenże w największych skokach popędził w gąszcz. Ponieważ to było za daleko, nie strzelałem, ale podbiegłem na drugą stronę gąszczu. Wlokąc a raczej niosąc jastrzębia na sobie, wysunął się zając, krzycząc przeraźliwie na pole, na 30 kroków koło mnie. Pomimo, że drapieżnik zoczył mię natychmiast, nie pu-

szczał ofiary, lecz dalej obrabiał ją skrzydłami i dziobem. Rozumie się, że gdy go dosięgły śróty — nie tylko odeszła go wszelka ochota, lecz także uleciała zeń jego złodziejska dusza.

DZIWIR CZY STAL?

Tłumaczenie z niemieckiego.

Prawie każdy z nemrodów stawiał sobie pytanie: co lepsze? dziwirowe czy stalowe lufy?

Przeważna część konserwatywnie usposobionych myśliwych, przechyli się bez dostatecznego uzasadnienia na stronę dziwiru, a nawet znajdą się tacy, którzy jako lepszy, ten dziwir uważać będą, którzy się łatwiej da krajać, a więc miększym jest. (Lufy ze zwykłego kutego żelaza najłatwiej krajać się dają). Zwolenników luf stalowych, specyalnie jako śrótowych, jest niesłusznie jeszcze niewielu. Że stal lepiej od dziwiru do kulówek się nadaje, o tem dziś nikt nie wątpi.

Jak wiadomo dziwir jest splotem, razem skutych, drutów żelaznych i stalowych, lub też takichże sztab i wykazuje na pokostowanej, lub bajcowanej powierzchni rozmaite desenie, według których nazywanym bywa. Wszystkie rodzaje dziwiru, przy zupełnie tym samym rysunku deseni, mogą być sporządzonymi z mniej, lub więcej dobrego materyału żelaza i stali, a nawet z samegoż żelaza, którego pojedyncze sztaby, lub druty, również rozmaitej mogą być jakości. Jakość dziwiru zależną jest zatem od jakości użytego do wyrobu materyału surowego, a więc od jakości stali i żelaza, z których się składa. Jeżeli zatem przyjmiemy, że wszystkie rodzaje dziwiru, z najlepszego materyału surowego się sporządziło, to zachodzi teraz pytanie, o jakim deseniu dziwir, posiada najlepsze własności? Stanowczo dowiedzionem jest, tak praktycznie, jakoteż teoretycznie, że najlepszym jest dziwir Bernarda.

Przechodząc do luf stalowych, musimy uwzględnić jakość stali, użytej do wyrobu tychże. Mamy wiele gatunków stali, które są mniej, lub więcej dobre, a nawet bardzo dobre do wyrobu śrótówek. Której stali pierwszeństwo się należy? Praktyczne doświadczenia dają tu miarę. Robiono praktyczne doświadczenia porównawcze ze stalą niemiecką, angielską, austryacką i innemi, tak zwanemi stalami, specyalnemi do luf, ale dotychczas jeszcze nie rozstrzygnięto stanowczo, czy stal Krupowska „Special", czy angielski „Silversteel" lub też austryacki „Wittener Excelsior" lepszy jest od innych. Rozmaici fabrykanci, różnym stalom dają pierwszeństwo, zaś najczęściej cena głównie jest miarodajną. Stanowczo bardzoby było zajmującem, rozstrzygnąć tę kwestyę, na drodze bezstronnych doświadczeń praktycznych.

Teraz pozostaje do rozważenia kwestya kardynalna, czy lufy dziwirowe, sporządzone z najlepszego surowca, czy też stalowe, najprzedniejszej sorty są lepsze, względnie: czy należy najprzedniejszy dziwir Bernarda przenieść nad najprzedniejszą stal?

Już sama teorya powiada, że stal czysta lepszą jest od stali zmięszanej z żelazem, a tembardziej od samego żelaza, a więc lepszą jest, niż dziwir. Praktyczne doświadczenia potwierdzają to w całości, czego najlepszym dowodem, że w Belgii, ojczyźnie dziwiru, lufy stalowe coraz większe zyskują wzięcie, zaś fabryki luf dziwirowych zastanawiają ruch. Przednia stal jest stanowczo lepszą od przedniego dziwiru, jako stali zepsutej przymieszką żelaza. Lufy stalowe średniej jakości (nie potrzebują być wcale przedniemi) są stanowczo lepsze od dziwirowych, jeżeli te ostatnie nie są najprzedniejszej sorty.

W końcu trzeba nadmienić o jednej jeszcze specyalności to jest: o zimno kutych lufach dziwirowych i stalowych. Przez kucie na zimno, tak dziwiru jakoteż stali, wciska się więcej materyału w jednakową zresztą objętość, materyał staje się gęstszym, oporniejszym i przydatniejszym. Najprzedniejszy dziwir i takaż stal stają się przez zimne kucie jeszcze lepszymi.

Zatem lufy z przedniej stali, zimno kutej, są najlepsze tak do kulówek, jakoteż do śrótówek.

To też zasłużonej renomy „zimno kutych" nadużywają w ostatnich czasach fabrykanci i zachwalają tandetę, jako zimno kute lufy. Prawdziwe „zimno kute" już od lat się nie anonsują.

M. R.

Mrówki łowcami.

Zanim opiszemy szanownym czytelnikom mrówki „*bashikouais*" mieszkanki Afryki podrównikowej, bojownicze termity, które swymi łowieckimi występami ściągają na się błogosławieństwo mieszkańców tych skwarnych okolic, przedstawię pokrótce zadziwiające zwyczaje i zdumiewającą wprost pracę białych mrówek, zamieszkujących t. z. czarny kontynent.

W rozległych obszarach niezamieszkałej Afryki, spostrzegamy ze zdziwieniem, świat dziwnych ulów, o oryginalnych kształtach, w których wykonuje się misterna praca.

Pasiek takich, że je tak nazwę, są tam setki.

Takie — swego rodzaju — miasto, nieodmienne w kształtach a ciągnące się bez końca, poczyna się u waszych stóp, a gubi się dla wzroku u kresów widokręgu.

W tym ogromnym grodzie jest tylko jeden gmach: ul. Budynek ten powtarza się, mnoży i powiela w nieskończoność.

Na widok tych dziwnych domków, wysokości czterech do pięciu stóp, przychodzi na myśl, że znajdu-

jemy się w stolicy krainy karłów. Lecz nie, w ten sposób ludzie nie budują domów. Architektami tych zadziwiających gmachów są afrykańskie, białe mrówki. Rządzą się mądrze, uprawiają przemysł, który kwitnie i błogie wydaje owoce, a patryotyzmem przewyższają ludzkie społeczeństwa.

Zatrzymajmy się chwilę, by módz przypatrzyć się zdumiewającej architekturze.

Z dali, wszystkie te domki ze swymi krągłymi, pochylonymi, według tego samego wzoru ukształtowanymi daszkami, sprawiają wrażenie olbrzymich grzybów.

Z tej to przyczyny, nadali niektórzy przyrodnicy, jak Jonatan Franklin, afrykańskim, białym mrówkom miano mrówek-grzybów (*fourmis-champignons*)

Jeżeli bada się bliżej te dziwne domki, to stoi się jakoby w obec ludzkiego społeczeństwa, a gdy przewrócimy taki domek, stajemy wprost zdumieni w obec jego zadziwiającego układu. W jednem miejscu jaja, tuż tuż przed wykluciem; w innem młode mrówki, pod ścisłym dozorem czcigodnych rodzicieli, zajętych ich edukacyą. Z jednej strony starcy, z drugiej młódź: rodzaj infirmeryi dla chorych, grzebowisko dla zmarłych: wszędzie obywatele, pełni oddania, pełni poświęcenia dla wspólnego dobra.

Kto zbada jeden z tych ulów, ten zna ustrój wszystkich. Wszędzie ten sam system w tworzeniu komórek i galeryjek, w budowie warstatów, w układzie licznych spichrzów, we wznoszeniu warowni. Wszystko spojone tym samym, niezniszczalnym kitem, który ustąpi chyba pod uderzeniem siekiery.

Rzadkie a ciekawe porozumienie: mieszkańcy ula nie należą wcale do jednego i tego samego rodzaju, a jednak żyją w zgodzie i pokoju i pracują przy wspólnej budowie w ten sposób, jak gdyby każdy z pracowników miał ten sam plan w swej małej, mrówczej główce.

Bezpośrednie przeciwieństwo wieży Babel: wszyscy milczą, lecz wszyscy się rozumieją.

Budowa dobiega końca bez sporu i poprawek, bez krzywd dla kogokolwiek, bez rozejmów — dokładna i pełna harmonii, jak gdyby była dziełem jednej ręki, jednego i tego samego umysłu. Białe mrówki dzielą się na trzy odmienne klasy: na pracowników, wojowników i przełożonych.

Te ostatnie mrówki większe od reszty — nie opuszczają wcale swych komórek, a raczej gabinetów pracy, chyba dla skontrolowania warstatów i sprawdzenia postępu w robocie. Poważny ich krok, gdy wychodzą i wracają, jak gdyby u rzeczywistych naczelnych inżynierów, musi każdego wprawić w zdumienie.

Mrówki — obrońcy nie są zajęte przy pracy przynajmniej bezpośrednio nie przykładają do niej rąk, chciałem powiedzieć, nóżek. Ich misya ogranicza się na odprawianiu czat i na opiece, rozciągniętej nad mrówkami roboczemi. Nieruchome, zawsze czujne, są ciągle w pogotowiu, a raczej pod bronią, czatują na niebezpieczeństwo, by go albo uniknąć, albo mu zapobiec. Ich straszne szczypce stworzone są nie do pracy, lecz do walki. To już nie narzędzie — to wprost broń.

Na największą uwagę między białemi mrówkami zasługują mrówki robocze.

Każda z nich ma odrębne przeznaczenie: niektóre z nich znoszą materyały, malutkie krzemyki, cząstki ziół, ziarnka piasku, inne przygotowują wapno z piaskiem.

Zaprawdę, warto jest widzieć, jak przychodzą te mrówki, jedna po drugiej, każda z brzuszkiem wydętym, wskutek zawartej w nim ziemi i jak wyrzucają ze siebie ciecz galaretowatą, kleistą, której używają do spajania materyałów.

Inne znowu robotnice, które mają za zadanie tylko schylać się, budują bez wytchnienia pod czujnem, uważnem okiem naczelników.

Białe mrówki pracują tylko w nocy. Za dnia wszystko milczy i wypoczywa. Otwory są zatkane — warstaty puste. Prawdziwe miasto umarłych. Miniaturowe te ule budują się z szybkością prawdziwie zdumiewającą. A jednak robota jest tak trwałą — że budowa ostoi się nie tylko w obec wiatrów, lecz nawet potężnym burzom stawi czoło.

Jeżeli osada się zwiększa — przydają piętro, skutkiem czego spotyka się ule, — które mają pięć lub sześć pięter.

Daszki ulów, spiętrzone jeden na drugim, sprawiają wrażenie miniaturowej pogody. Skoro ul spełni swe posłannictwo, opuszczają go mrówki i budują inny. Cały ten narodek przeprowadza się, podróżując pod powierzchnię ziemi. Przewódcy, robotnicy, żołnierze, wszyscy odchodzą cicho, spokojnie, bez hałasu, by założyć nowe miasto. Oddajmy pokłon tym architektom i inżynierom, zażywającym nielada znaczenia, a których geniusz nie stoi w stosunku do ich wzrostu.

W środku tego czarodziejskiego, przed wszystkiemi przeszkodami zabezpieczonego pochodu, zdążającego w największym porządku, by sobie dokądś w podziemia utorować drogę kroczą mrówki-rycerze, posłuszne wodzom, ochraniające mrówki robocze, tak jak później, w ten sam sposób, bronią granic nowej rzeczypospolitej.

Taką jest afrykańska biała mrówka, takie ich wzorowo urządzone siedziby i znakomicie uorganizowany rząd.

Rzeczpospolita rzeczywiście godna podziwu, w której chwyta się za broń jedynie w tym celu, by bronić granic, względnie ochraniać pracujących. Rzeczpospolita mogąca bezsprzecznie służyć za wzór, w której paplanie nieznane, przemysł zażywa czci, postęp poczytuje się za prawo, wzajemne porozumienie się jest zwyczajem, praca obowiązkiem, równość rzeczywistością, braterstwo zasadą, szacunek dla słabych i starców religią, wykształcenie młodzieży potrzebą serca i najważniejszem zadaniem państwa.

Przystępuję teraz do mrówek „*bashikouais*“ osławionych termitów — łowców, zasadniczo odmiennych od białych mrówek, któreśmy dopiero co opisali. Owady te, zarówno żarłoczne jak dzikie, mają tylko jedną, jedyną namiętność: połów. Nie ma zwierzyny, którejby nie zaatakowały lub nie napadły i której by nie pożarły.

Wypada nadmienić, że inteligencya ich wyrównywa ich żarłoczności. Ostatni eksploratorowie Afryki przyrównikowej wyrażają się o nich z równą dozą podziwu, jak strachu. Ludzie i zwierzęta — wszystko ucieka przed ich strasznemi gromadami, tak okropne jest ich ukąszenie, tak dziki ich instynkt, tak niedopuszczającym obrony, ich napad. Straszni ci łowcy, których regularne karne karawany, falują w nieskończoność, są wszechwładnymi panami płaszczyzn i lasów. Wszystko

czuje przed nimi trwogę, wszystko ich unika, wszystko począwszy od lamparta i goryla, nosorożca, który chyba nie posiada cienkiej skóry, aż do słonia i lwa, a nawet człowieka. Straszne te włóczęgi rzucają się na każde żyjące stworzenie, ścigają je i łowią z zaciekłością głodu, rozdzierają, rozczłonkowują i pożerają.

Mrówki te ciągną długą linią, niezmierzonymi pochodami przez płaszczyzny i lasy, a wszystkie te marsze odbywają w zadziwiającym porządku. Linia ta żywa, ustawicznie się poruszająca, zdaje się wyciągnięta wedle sznura, a rozciąga się nieraz na kilka mil długości.

Duchaillu przytacza, że był obecnym pochodowi jednej kolumny termitów i że przejście trwało cztery godziny.

Po bokach tej linii bez końca, trzymały się po za szeregami, ogromne mrówki o białawych głowach, a ciemnym korpusie i utrzymywały porządek, zachowując się tak poważnie, jak prawdziwym przywódcom przystoi. Naraz armia bashikouais'ów znika, jakby na skinienie czarodziejskiej różdżki. Dzieje się to wtedy — gdy zbraknie drzew, które osłaniają termity przed słońcem, wzbudzającem w nich odrazę.

Gdzież się podziały? Zniknęły pod ziemią, w tunelu na 3 do 4 stóp głębokim, który wydrążają z zadziwiającą szybkością, a w którym pogrąża się cała armia, by przejść w ścieśnionych szeregach i wynurzyć się nagle na brzegu lasu.

Jeżeli uczuwają łaknienie, zmieniają front wedle odmiennej taktyki.

Ogromny batalion zatrzymuje się nagle i rozwija się w szeroką masę, która atakuje, opada, pokonywa i pożera wszystko, co napotka z niepowstrzymaną zaciekłością, z szaloną żarłocznością.

Termitom nie wystarcza zmieść wszystko z drogi, w czasie pochodu, nie zadowalają się zmuszeniem do ucieczki słonia i goryla, lamparta, hyeny i wielkich wężów afrykańskich bagien, one w pościgu za swym łupem, wdzierają się na wierzchołki drzew, porywają stamtąd gniazda os i rozrywają je na strzępy, jakby wątłą, pajęczą tkankę.

Jeżeli człowiek jest na tyle nieroztropny, że stara się przejść przez kolumnę termitów, mrówki zaatakują go, opadając ręce, nogi i ramiona i ponawiają ze wściekłością swe straszne ukąszenia, wstrzykując w każdą ranę rodzaj zjadliwej trucizny. Ucieczka, to jeden, jedyny środek ocalenia.

Po największej części, straszne te owady nie odstąpią dopóty zdobyczy, dopóki bodaj kawałka z niej nie urwą szczypcami. Widłowate ich szczęki, tak się zagłębiałą w ciele, że trzeba rozkawałkować mrówkę, by się od niej uwolnić. Głowa tkwi pomimo to w ranie, a szczęki wciskają się tak gwałtownie coraz dalej, że pozostają w ranie już po wyjęciu głowy, że muszą być osobno usuwane. Pomimo to wszystko, termity — łowcy ze swymi strasznymi legionami nie tylko, że są owadami użytecznymi, lecz ze względu na swe hygieniczne zasługi. Afryki podrównikowej, wprost niezbędne. Bez nadzwyczajnych świadczeń i wielce zajmującej protekcyi bashikouais'ów stałoby się życie dla mieszkańców tych okolic wprost niemożliwem.

Skoro tylko sąsiedzi oznajmią, że zbliża się armia tych owadów, mieszkańcy witają je okrzykami radości. Wszyscy murzyni otwierają natychmiast drzwi mieszkań, skrzynie, kufry, wyciągają szuflady i szybko opuszczają wioskę, pozostawiając wolne pole dobroczynnej inwazyi.

Termity przybywają, wpadają do opuszczonych mieszkań, rozpraszają się w każdym domu, który napadają i rabują, łowiąc i zgładzając każde żywe stworzenie, a więc: szczury, mole, myszy, jaszczurki, ropuchy, stonogi, niedźwiadki, węże. Dzielni łowcy, dla których każda zwierzyna jest wyborna, a którzy nigdy nie mogą powiedzieć o sobie, że wracają bez łupu.

Po tem energicznem i kompletnem wyczyszczeniu, mrówki zamykają posiedzenie, zupełnie tak, jak się po bankiecie wstaje od stołu, zgromadzają się w mgnieniu oka, tworzą kolumny i oddalają się, unosząc zrabowane łupy wraz ze słodkiem wspomnieniem wykwintnej uczty, którą rozpoczną na nowo, po upływie miesiąca. Po odejściu termitów, murzyni pośpieszają objąć znowu w posiadanie swe domostwa, dokładnie oczyszczone, zdrowsze, i śpią jak susły, pozbywszy się niewygodnego sąsiedztwa.

Murzyni powinni sobie tylko gratulować wzajemnie tych szczególnych, gorliwych, czystość i porządek utrzymujących „gospodyń", które za to wszystko nie żądają innego honoraryum, prócz szczurów i niedźwiadków.

Ameryka podzwrotnikowa ma również swoje „bashikouais'y. Są niemi mrówki „*ecitons*", które naturaliści nazywają „*ecitons visiteurs*" lub "*chasseurs*".

Te same zwyczaje i obyczaje, ta sama zaciekłość łowiecka, ten sam wybór nieczystej zwierzyny. Nawet te same prawa do wdzięczności mieszkańców mogą sobie rościć, co termity afrykańskie. Na podstawie tego szczególnego podobieństwa, mieszano często amerykańską mrówkę „*eciton*" z afrykańskim podrównikowym termitą — łowcem.

Musimy tu nadmienić, że niegdyś dzikie, afrykańskie plemiona, wydawały zbrodniarzy na pastwę przeciągających mrówek „bashikouais".

Był to najokrutniejszy rodzaj śmierci — jaki tylko można było wymierzyć. Skazany, przymocowany przez nieubłaganych katów do męczeńskiego słupa, widział, pełen grozy, zbliżającą się coraz więcej złowrogą gromadę wygłodniałych mrówek, czuł jak jego ciało obsiadały, pokrywały, jak wreszcie nienawistna i żarłoczna ta plaga je rozdzierała.

Na szczęście, nieszczęsny nie cierpiał długo. W mgnieniu oka stało się jego ciało trupem, a w następnem, z trupa tego został szkielet.

Jeżeli przeciwstawimy ówczesnego człowieka termicie, to chyba uznamy zgodnie, że owad był o wiele mniej okrutnym od człowieka.

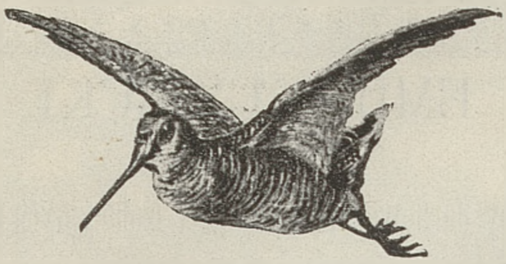
(Le Chasseur Français).

Korespondencye.

Bajkowce, 21. września 1901.

Dzisiaj widziałem i zabiłem pierwszą słonkę w naszej okolicy. Ponieważ tamtego roku pierwszą zastrzeliłem 4. października, więc konstatuję fakt, że ciąg tegoroczny wcześniejszy, niż zeszłoroczny, oby mu tylko dorównał co do ilości. O dalszym przebiegu doniosę.

Adam Maniewski



Hawłowice, 21. września 1901.

Dnia 19. września odbyło się, tak zwane, małe polowańko w dobrach ordynacyi łańcuckiej — strzelb pięć — polowaliśmy od 12-tej do 6-tej, zabiliśmy 90 kuropatw, 11 chruścieli, 5 przepiórek — polowanie prowadzone wzorowo — stan kuropatw obfity — o sposobie polowania słów parę: Wyjechałem z Łańcuta w pół do 12-tej — przyjechawszy na miejsce zborne, zastaliśmy kuropatw zgonionych, w ścierń podsianą koniczem, stad sześć — na pogórkach przyległych straże rozstawione, każdy myśliwy dostał strzelca z psem legawym — ustawiliśmy się w linię, w formie półksiężyca i zaczął się „sztreif" — kuropatwy, teraz już lotne zrywały, się, daleko, ostrzeliwano je więcej dla rozbicia niż zabicia, co się też i udało.

„Sztreif" przeszedł łan ścierni — przyszedszy na drugą stronę — galopeny zaraportowały, gdzie i ile kuropatw zapadło, a warty pilnowały, aby wiedzieć, czy są, czy nie wyleciały lub nie wyszły — jeżeli stado większe, otaczaliśmy je wszyscy z trzech stron, a nagonka naganiała, jeżeli mniejsze, połowa szła za jednem, druga połowa za drugiem — ale zawsze zganiając je do środka, gdzie była remiza i duża ściernianka z koniczem — szliśmy linią z nagonką, psy przed nami — kuropatwy rozbite dotrzymywały — remizę zgoniono na nas, tu znów były kuropatwy — dalej „sztreif" i odpoczynek — śniadanie. Po śniadaniu raport, że w tej koniczynie jest dużo kuropatw — więc wzięliśmy ją jeszcza raz, potem chłopskie kartofle — gdzie zastaliśmy świeże stada, z których dwa duże uciekły w sady, między chałupy. Następnie wzięliśmy buraki — na jednej górze buraki i na drugiej naprzeciw także, dołem między burakami wykoszona łąka — przeganialiśmy je z jednych buraków do drugich — nakoniec jeszcze „sztreif" koniczem ściernianką — kuropatw świeżych multum i do domu. To niezwykłe polowanie, to uczta myśliwska, za którą Excelencyi Ordynatowi stokrotnie Bóg zapłać.

Chciałbym napisać coś o Łańcucie, o rezydencyi — daremna pokusa — bo aby krótko opisać to, co opisu warto — mało jednego numeru Łowca — kto znał Łańcut dawniej, a zobaczy teraz, ten potrafi ocenić te olbrzymie zmiany, jakie zaprowadził Excelencya hr. Roman Potocki — jest to najładniejszy klejnot kraju.

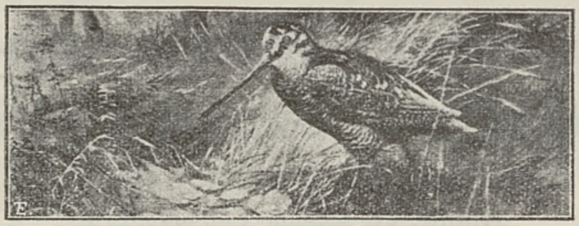
Teofil Żurowski.

Dnia 18. września 1901 polowałem przez jedno popołudnie w Chłopicach — majątku Maryana Lisowieckiego, prawie sam, bo gospodarz, mając jakąś przeszkodę zaledwie parę godzin mi towarzyszył. Polując z psem w dwóch łanach buraków, zabiliśmy 39 sztuk w tem 25 kuropatw. W ogóle stan kuropatw podnosi się u nas — do czego sądzę, że przyczynia się uprawy buraków na większą skalę. Zajęcy, sarn, widać dosyć.

Teofil Żurowski.

Kalendarz łowiecki.

Październik.



Wolno polować na wszystko.

NEKROLOG.

† **Śp. Seweryn Kisielewski**, uległ nerwowemu cierpieniu, które od kilku lat w nim nurtowało. Ze zgonem jego straciło Towarzystwo długoletniego, wiernego swojego członka — *„Łowiec"* stałego współpracownika. Śp. Seweryn był, jak wiadomo, jednym z najznakomitszych myśliwych w kraju a w sprawie tresury psów powagą pierwszorzędną.

Spokój jego cieniom!

Kronika.

Rogi mylkusa. Na stronie 265 podajemy reprodukcyę bardzo ciekawych parostków rogacza mylkusa, ubitego w lasach germakowieckich przez hr. Michała Baworowskiego.

Proch bezdymny. Wynalazki, mające na celu skomponowanie nowych sort prochu, jak najmniej dymiących. mnożą się w ostatnich czasach tak licznie, że nie łatwo w obec nich zdecydować się na wybór.

Jako wskazówka w tym względzie, moga posłużyć próby przedsięwzięte przez fachowe, kompetentne osobistości z różnymi rodzajami tego prochu, których wyniki zostały opublikowane.

Najnowszym rodzajem z tej dziedziny jest proch t. z „Saxonia“, skombinowany przez głośnego już na tem polu, drezdeńskiego inżyniera Hübnera, który to proch zdobędzie dla siebie, prawdopodobnie w krótkim czasie, przeważną część łowieckiego świata.

Największą zaletą tego prochu jest to, że przy robieniu nabojów nie potrzeba go odważać, co wcale dogodnem nie było, lecz nasypywanie odbywa się wyjątkowo przez odmierzenie, ku czemu służy gramowa podziałka.

Proch ten nie powoduje rdzewienia luf w tym stopniu, jak dotychczasowy bezdymny — pobieżne nawet przetarcie lufy kłakami. zapobiega rdzewieniu. Dymy wywiązują się w ilości jak najmniejszej, kopnięcie jest bardzo nieznaczne. a parcie — powstałe wskutek rozprężania się gazów, przy ładunku o 4 gramach który pozwala użyć 36 gramów śrótu, wynosi 560 do 580 atmosfer, zatem mało więcej, niż stosunkowo równie silny nabój czarnego prochu. Proch ten nadaje się szczególniej do strzałów kulowych, gdyż przy jakimkolwiek pocisku i gwintach. nienaraża zupełnie mechanizmu zamkowego, tak samo jak nie nadwyręża luf.

(*Allgemeine Sport-Zeitung*).

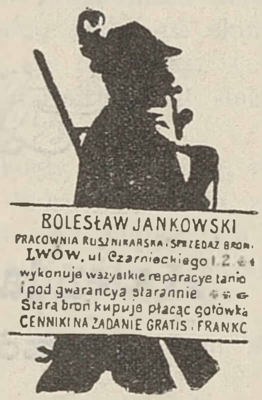
DROBNE OGŁOSZENIA.

(po 1½ ct. od wyrazu).

DO SPRZEDANIA

Poszukujemy tropowca na dziki bardzo pewnego, nie goniącego nic prócz dzika. Oferty należy wnosić pod adresem: „Zarząd dóbr Żurawno“. Psa zapłaci się po dokładnem wypróbowaniu.

Do sprzedania wypchany niedzwiedź. Informacyi udzieli Majewski Lwów, Krasickich 9 II. p



EMIL KUŹNICKI

FABRYKA

Papy dachowej, asfaltu, płyt izolacyjnych itp.

Oświęcim-dworzec

Filia: Lwów, Pasaż Hausmana l. 3.

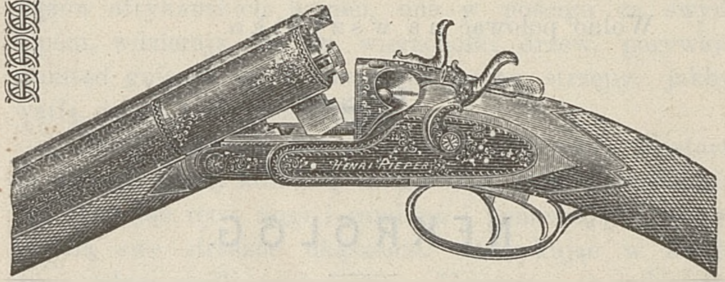
Przedsiębiorstwo robót asfaltowych i krycie dachów ogniotrwałą papą.

132—25—24

Alfred Dzikowski

c. i k. nadworny dostawca.

Lwów, ul. Karola Ludwika l. 1.



Główny magazyn i fabryka
broni myśliwskiej

odszczególniona na wystawach krajowych:

Dyplomem honorowym Wys. c. k. Ministerstwa handlu i 10-ma medalami zasługi,

poleca znakomitą

BROŃ MYŚLIWSKĄ

jako to

Lankastrówki z kurkami i bez kurków. Sztućce. Exprcsy, pojedyncze i podwójne. Trzylufki lankaster, iglicowe i hamerles. Iglicówki Teschnera. W. Coletha. Rewolwery, pistolety floberty i t. d.

Jedyny skład fabr. łusek nabojowych i patronów ostrych, niemniej

Przybory myśliwskie i łowieckie

po cenach najtańszych.

C. k. uprz.

FABRYKA MASZYN ODLEWARNIA I KOTLARNIA

„PERKUN“

Spółka komandytowa Ferdynanda Pietzsch'a

FABRYKA MASZYN WE LWOWIE

ul. św. Marcina l. 11. Biuro techn.: Kopernika 18.

FABRYKA NARZĘDZI ROLNICZYCH I SKŁAD FILIALNY
w Rzeszowie ul. Sobieskiego.

Urządza kompletne tartaki, młyny wodne i parowe, gorzelnie. Urządza światło elektryczne, przenoszenie siły, gromochrony, centralne ogrzewalnie i wodociągi.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: Ludwik Józefowicz.